

KAROL CZERNECKI

ZOSIA
I DOM
ANIOŁKÓW

Wydawnictwo WAM

© Wydawnictwo WAM, 2026

Opieka redakcyjna: Kama Hawryszków
Redakcja: Marta Koziak-Podczerwińska
Korekta: Klaudia Bień, Katarzyna Onderka
Projekt okładki: Marcin Jakubionek
Skład i opracowanie graficzne: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-5091-4

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-255
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
tel. 12 62 93 260
www.wydawnictwowam.pl

Druk i oprawa: TOTEM • Inowrocław

*Dziękuję moim Aniołom, którzy budują
i tworzą ze mną Dom Aniołków.
Dzięki Wam ten Dom żyje –
tu miłość jest lekarstwem.*

Dziękuję:

- za każde serce, które bije razem z moim,*
- za każdą pomoc, modlitwę, gest i uśmiech,*
- za wiarę, że dobro naprawdę ma sens,*
- za życie, które uczy kochać...*

*Z wdzięcznością i nadzieją
Autor*



To był zwykły dzień w Domu Aniołków. Za oknem zielono; trawa na łące budziła się do życia po zimowym śnie – jeszcze nieśmiała, jeszcze trochę zaspana, ale już wyciągała swoje źdźbła ku słońcu. W powietrzu czuć było zapach wilgoci i nowego początku. Gdzieś w oddali ktoś kosił pierwsze wiosenne chwasty, a ptaki urządzały koncert tak głośny, jakby śpiewały specjalnie dla tych, którzy nie mogli już wyjść na zewnątrz.

Dom Aniołków stał na skraju tej łąki – cichy, prosty, jasny. Nie wyglądał jak szpital; raczej jak ciepły, rodzinny Dom, w którym ktoś zapomniał zamknąć drzwi, więc dobro mogło swobodnie wchodzić i wychodzić. Pachniało tu świeżo upieczonym chlebem i kakao, choć niektórzy przysięgali, że czują też zapach kadzidła, nawet wtedy, gdy nikt go nie palił.

Dom Aniołków wyglądał jak Dom z marzeń – ten, który dzieci malują pastelami, kiedy prosi się je, by narysowały szczęście. Nie



miał w sobie nic ze szpitalnego chłodu i surowości. Stał spokojnie przy cichej uliczce na końcu wsi, otoczony płotem z siatki i zielenią drzew, jakby chciał powiedzieć do przechodniów: „Wejź, tu możesz odpocząć, tu jest bezpiecznie”.

Jego ściany miały kolor delikatnej brzoskwini – ciepły i łagodny jak poranek. W słońcu mienił się złotym blaskiem, w deszczu stawał się kremowy, miękki, prawie mleczny. Dach o ciemnoczerwonym odcieniu nadawał mu dostojności, a białe okna błyszczały jak oczy, które uśmiechają się do spacerowiczów. Przed wejściem stało kilka ławek, na których latem odpoczywały mamy albo siadali wolontariusze, a zimą – lądowały ptaki, które znalazły tu swój spokój. Ale tym, co czyniło ten Dom wyjątkowym, nie były ani kolory, ani mury, ani nawet piękne, równiutkie ścieżki prowadzące do drzwi. Było to ciepło, które biło z niego nawet wtedy, gdy nikogo nie było w środku.

Dom Aniołków miał swoją duszę. Wchodziło się tam jak do miejsca świętego, ale

nie takiego z kropidłem i organami, tylko z kubkiem herbaty, kapciami i kocem. Tutaj anioły nie latały – chodziły po korytarzach w fartuchach, z kubkiem kawy w jednej ręce i uśmiechem w drugiej. Tu płacz mieszał się ze śmiechem, a cisza nie była smutna, tylko potrzebna.

Wiezorami, gdy słońce chowało się za drzewa, Dom Aniołków wyglądał jak latarnia – ciepłe światło sączyło się z okien na zewnątrz i oświetlało drogę tym, którzy przychodzili tu po nadzieję. Bo właśnie tym był ten Dom: nie miejscem pożegnania, tylko przestrzenią miłości. Takiej, która trwa dłużej niż życie.

Rano Dom Aniołków budził się powoli, bez pośpiechu, jakby sam wiedział, że każdy dzień tutaj jest cenny i trzeba go zaczynać delikatnie. Z kuchni dochodził dźwięk filiżanek stawianych na tacy i szmer towarzyszący pieczołowitemu smarowaniu kromek chleba masłem. Ktoś nucił pod nosem *Cichą wodę*, ktoś inny otwierał okno, wpuszczając do środka wiosenne powietrze



i zapach świeżo skoszonej trawy. Na korytarzach słychać było ciche kroki – pielęgniarki mają je opanowane do perfekcji. Szły, by mierzyć temperaturę i przynieść lekarstwa, uśmiechy oraz dobre słowa. Każde „Dzień dobry” miało tu inny ton – trochę czułości, trochę odwagi, trochę tego „Wiem, że Ci ciężko, ale damy radę”. Z pokoi powoli zaczynały dobiegać głosy dzieci. Jedno wołało, że zgubiło misia, inne pytało, czy dziś będzie budyń, a jeszcze ktoś inny opowiadał, że śnił mu się sen o chmurach, po których można chodzić jak po trampolinie. Wolontariuszka Ania (zawsze w kolorowych skarpetkach nie do pary) wchodziła do sali z gitarą i śpiewała *Hej, żeglujże, żeglarczy*, choć nikt nie znał całego tekstu, więc kończyło się improwizacją i śmiechem. Na ścianach wisały obrazki narysowane dziecięcymi rękami – anioły z serduszkami, słońca, domki, misie i jeden, który wszyscy uwielbiali: ogromny rysunek drzewa z napisem „Tu rośnie miłość”. Bo naprawdę rosła. Każdego dnia. Między kubkiem kakao

a wieczornym bajaniem. Między słowami „Proszę” i „Dziękuję”.

We wszystkim, co się tu działo, był spokój. Nie taki, co każe milczeć, ale ten, który daje oddychać. Dom Aniołków żył. I choć jego najmłodszy mieszkańcy mieli przed sobą już tylko kawałek drogi, to właśnie tutaj najczęściej uczono się żyć naprawdę – bez udawania, za to z wdzięcznością, z uśmiechem, który potrafił na chwilę zatrzymać świat. Właśnie tego poranka, gdy zapach świeżych bułek mieszał się z aromatem kawy, a słońce zaglądało przez wszystkie okna, jakby chciało przywitać się z każdym z osobna, wydarzyło się coś, co na pierwszy rzut oka nie wydawało się niczym szczególnym. Taki drobiazg, jakich w życiu mnóstwo. Ale w Domu Aniołków nawet drobiazgi potrafiły mieć znaczenie.

Otworzyłem okno w sali numer 5, żeby przewietrzyć. Powietrze wleciało z impetem, poruszyło firankę, zatrzepotało karteczkami przyklejonymi do ściany. I wtedy właśnie się to stało. Spadło. Małe, białe piórko.

Zakręciło się w powietrzu jak miniaturowy tancerz, zatańczyło z promieniem słońca i spokojnie opadło na parapet. Nie byłem w nastroju do wzruszeń. Ot, piórko jak piórko – może z poduszki, może z jakiegoś ptaka z pobliskiej łąki. I pewnie nigdy bym się nad tym nie zastanowił, gdyby nie cichy głos z łóżka pod ścianą. – To anioł – usłyszałem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to właśnie ta mała dziewczynka, z włosami pod chustką i sercem większym niż niebo, nauczy mnie najprostszej rzeczy na świecie: że życie nie polega na tym, by przetrwać, tylko żeby zdążyć pokochać drugiego człowieka.

Odwróciłem się. Siedziała po turecku, w piżamie w złote wzorki, z chustką zawiązaną na głowie i niedającym się zapomnieć uśmiechem. Zosia – bo tak miała na imię – patrzyła na piórko jak na coś niezwykle ważnego, jakby właśnie wydarzył się cud, który tylko ona potrafiła dostrzec.

– To anioł, proszę pana – powtórzyła poważnie, nie spuszczając wzroku z parapetu. – Spadł tu specjalnie.



– Zosiu, to tylko przeciąg – odpowiedziałem odruchowo, z lekkim uśmiechem. – Okno było otwarte.

Zmrużyła oczy i spojrzała na mnie z miną, która nie zostawiała złudzeń. – Pan to się chyba na aniołach nie zna.

I wtedy się roześmiałem. Prawdziwie. Nie tak służbowo, jak śmieje się czasem dorosły do dziecka, tylko z serca, jak człowiek do człowieka.

– Pan wie, co to znaczy, jak anioł zgubi piórko? – zapytała po chwili.

– Nie mam pojęcia.

– To znaczy, że ktoś tu, na ziemi, potrzebuje pomocy – powiedziała cicho. – Ale spokojnie, ja już napisałam do niego list, żeby się nie zgubił drugi raz. Bo anioły mają dużo roboty, a ja wiem, jak to jest, jak się człowiek spóźnia.

Zamilkłem. W tej jednej chwili cały Dom Aniołków jakby przystanął. Słyszać było tylko delikatne tykanie zegara i śpiew ptaków za oknem. A ja pomyślałem, że ta mała dziewczynka, z cienkim głosikiem i głową pod

chustką, ma w sobie więcej spokoju i mądrości niż większość dorosłych, których znałem.

Patrzyłem na piórko, potem na nią. I po raz pierwszy od dawna poczułem, że coś we mnie mięknie – coś, co od dawna było zbyt twarde, żeby się wzruszyć. Od tamtej chwili nie sposób było przejść obok Zosi obojętnie. Miała w sobie coś, co przyciągało – jak magnes, jak zapach świeżego chleba w niedzielny poranek. Ona nie przyszła tu po to, by się żegnać. Była drobna, krucha, ale tlił się w niej ogień: nie taki, co parzy, tylko taki, który grzeje. Kiedy mówiła, człowiek przestawał myśleć o wszystkim innym. Bo z Zosią nie dało się być „na pół gwizdka”. Momentalnie odpływało się w jej świat – pełen aniołów, kolorowych chmur i planów na przyszłość, której miało już prawie nie być.

Każdego ranka, gdy przychodziłem do pracy, Zosia już czuwała – czasem z książką, czasem z kredkami. A czasami po prostu siedziała i patrzyła przez okno.

– Pilnuję piórka – mówiła, gdy pytałem, co robi. – Bo może wróci po nie ten anioł, co

je zgubił. Nie chciałabym, żeby miał kłopoty w niebie przez moje okno.

Miała w sobie humor tak lekki, że człowiek nawet nie zauważał, kiedy zaczynał śmiać się razem z nią. Potrafiła rozbroić powagę i żartem w jednym zdaniu.

– Panie doktorze, a pan to ma Anioła Stróża? – zapytała mnie któregoś dnia, gdy zmieniałem opatrunek.

– Mam – odpowiedziałem. – Tylko chyba często ma urlop.

– Albo pan mu nie płaci – skwitowała poważnie. – Wie pan, anioły też muszą coś zjeść.

I znów to zrobiła – rozbroiła mnie tą swoją prostotą, tą nieprawdopodobną mądrością siedmioletki, która widziała więcej niż niejeden dorosły.

Wieczorem, kiedy dzieci już zasypiały, zaglądałem czasem do jej pokoju. Lampka przy łóżku świeciła miękkim światłem, a Zosia zawsze czuwała chwilę dłużej niż inni.

– Nie mogę spać – tłumaczyła. – Jak zasnę, to anioły pewnie będą chciały pogadać, a ja się boję, że nie usłyszę, co mówią.



– A co, jeśli mówią szeptem? – spytałem.

– To będę ich słuchać sercem – odpowiedziała, jakby to było oczywiste.

Tego wieczoru, wychodząc z sali, pomyślałem, że w całym Domu Aniołków nie ma ciszy tak pięknej jak ta zostawiona po sobie przez dziecko, które wierzy w coś więcej, niż dorośli potrafi objąć rozumem.

Następnego dnia Zosia miała plan. Nie taki mały, dziecięcy – jak narysować domek czy ulepić serce z plasteliny – tylko prawdziwy, poważny plan, jakiego nie powstydziliby się dorośli z laptopem i kalendarzem w ręku.

– Panie doktorze, dziś zaczynamy! – oznajmiła, gdy tylko wszedłem do sali.

– Co zaczynamy, Zosiu? – zapytałem, trochę zaspany po ciężkiej nocy.

– Szkołę dla aniołów – powiedziała z pełną powagą. – One tam, w górze, pewnie nie wiedzą, jak to jest być dzieckiem. A jak mają się nami opiekować, skoro nie wiedzą?

Zanim zdążyłem coś odpowiedzieć, Zosia już przedstawiła mi przygotowany plan lekcji: